

Ten rok był dla mnie bardzo łaskawy jeśli chodzi o kontakt z górami. W marcu udało mi się zdobyć najwyższy szczyt Afryki – Kilimanjaro (5896m), w czerwcu najwyższy szczyt Karpat – Gerlach (2655m), a w sierpniu najwyższy szczyt Turcji – Ararat (5165m). Przygoda z Araratem w dziwny sposób przemieniła się w przygodę z Kurdystanem – regionem, który do niedawna był mi zupełnie obcy. Oto relacja z tej podróży...

„KURDYJSKA PRZYGODA Z ARARATEM W TLE”

Pisanie o podróżach sprawia mi zawsze wielką przyjemność. Lubię, gdy kolejne zdania zaczynają układać się w opowieść, gdy myśli przemieniają się w słowa, a słowa w całe obrazy. Tym razem od pierwszych prób opisanie tej wyprawy nie mogłam wyzbyć się uczucia, że jest to zadanie z serii przysłowiowego „porywania się z motyką na słońce”. Zastanawiałam się skąd takie obawy i szybko doszłam do wniosku, że była to przygoda niezwykle bogata w emocje, nastroje, uczucia. Można opisać miejsca, ludzi, zdarzenia, ale jak poradzić sobie z opisaniem klimatów, spojrzeń, gestów, jak opisać muzykę, śpiew, nastrój tajemnicy, jak przedstawić głębię pytań i odpowiedzi na trudne, często polityczne, tematy? Postaram się ubarwić tą relację emocjami, tak, aby jak najwierniej odtworzyć to wszystko, czego mogłam doświadczyć uczestnicząc w fascynującej wyprawie zorganizowanej przez Jarka Figla – właściciela firmy o intrygującej nazwie Exploruj.pl

Po krótkim locie wylądowaliśmy na lotnisku im. Kemala Atatürka w Istambule. Atatürk (1881-1938) jako twórca współczesnego państwa tureckiego i pierwszy jego prezydent cieszy się do dzisiaj wielkim uznaniem, co przekłada się m.in. na stawianie mu pomników, nazywanie jego imieniem ważnych miejsc, budynków, ulic. Lot był pierwszym etapem integracji z 8-o osobową ekipą, która – jak się szybko okazało – zdecydowanie przewyższała mnie kondycją fizyczną. Na szczęście nie opuściła mnie determinacja, a odporność i dobra kondycja psychiczna zdały się być tym razem wyjątkowo potrzebne, a wręcz niezbędne.

O samym Istambule (dawniej Bizancjum, Konstantynopol) można by pisać w nieskończoność. Cóż powiedzieć w kilku zdaniach? Stolica trzech światowych potęg: cesarstwa rzymskiego, cesarstwa bizantyjskiego i wielkiego imperium Turków osmańskich. Magiczne miasto, które jako jedyne na świecie położone jest na dwóch kontynentach. Europę z Azją dzieli jedynie najwęższa na świecie cieśnina Bosfor, która łączy z kolej Morze Czarne z Morzem Marmara. Zwiedzanie tego miasta to unikatowa podróż w czasie. Antyczna przeszłość przeplata się ze współczesnością, co może spowodować niejeden zawrót głowy. Z absolutnych „perełek” architektonicznych wystarczy tylko wymienić Błękitny Meczet z sześcioma minaretami, bazylikę Hagia Sofia, czyli kościół Mądrości Bożej- przebudowany w czasach tureckich na meczet, Pałac Topkapi, Hipodrom czy też najsłynniejszą na świecie cysterną Basilica. Żeby ogarnąć wzrokiem to niebywałe skupisko zabytków trzeba wspiąć się na ponad sześćdziesięciometrową wieżę Galata, skąd roztacza się zapierający dech widok. A gdy jeszcze uda się pospacerować nadbrzeżem zatoki Złoty Róg, poczuć wszystkie zapachy tej metropolii i usłyszeć wszystkie dźwięki z regularnym nawoływaniem muezinów do modlitwy włącznie – to można powiedzieć, że jest się w „siódmym niebie”.

Ale już następnego dnia przemieściliśmy się o kolejne 1300 km, aby dotrzeć do wschodniej Anatolii, krainy zamieszkałej m.in. przez Kurdów. Kurdystan, którego terytorium podzielone jest obecnie na cztery państwa: Turcję, Iran, Irak i Syrię od dawna walczy o swoją niepodległość i niezależność. Przed wyjazdem do Turcji ze zgrozą odbierałam informacje o walkach partyzantów kurdyjskich i krwawych zamachach, o porwaniach turystów na Araracie, o wybuchach bomb w Istambule. Po wyprawie moje poglądy na problem Kurdów uległy diametralnej zmianie. Głównym twórcą tych zmian był nasz

kurdyjski przewodnik Hakan – młody człowiek obdarzony wielką charyzmą, prawdziwy patriota, profesjonalista w swoim zawodzie i roztaczający magiczną aurę opiekun grupy. Hakan był z nami od momentu wylądowania na lotnisku w miejscowości Van, położonej nad potężnym jeziorem o tej samej nazwie, aż do chwili naszego odlotu z tego samego lotniska. Przejechał z nami setki kilometrów, pokazał ukryte, a czasami nawet zagubione w ogromnej przestrzeni wioski kurdyjskie, zabrał na spotkania, na których czuło się rewolucyjne, wyzwolenie klimaty, zaprowadził do łaźni tureckiej, pokazał okoliczne zabytki, ciekawe miejsca, próbował nauczyć nas pięknych pieśni kurdyjskich, które śpiewał wieczorami tak niebywałym głosem, że aż trudno to w ogóle opisać. Oczarował nas i zaczarował. Wprowadził na Ararat – na górę, która wabi z daleka i swoją okazałością jakby potwierdza, że ma naprawdę coś wspólnego z biblijnymi opowieściami.

Miasto Van znane jest nie tylko ze swojego położenia, ale także z hodowli kotów rasy Van, które są zupełnie białe i mają oczy w dwóch kolorach – jedno oko niebieskie, a drugie zielone. Przy wjeździe do miasta stoi ogromny pomnik kotów będących wizytówką tego regionu. Jezioro Van zachwyca z kolei kolorem wody, która z uwagi na duże zasolenie i ogromną zawartość minerałów przybiera barwę turkusową. Na jeziorze leży wiele skalistych wysp i wysepek. Na jedną z nich (Akdamar) popłynęliśmy po to, aby zobaczyć bardzo dobrze zachowany kościół Świętego Krzyża, który został zbudowany w 921 roku przez ormiańskiego króla Gagika.

Z Van wyruszyliśmy w drogę do kolejnej kurdyjskiej miejscowości Adilcevaz. Tam musieliśmy zdobyć pozwolenie władz wojskowych na wyjście w góry i na atakowanie szczytów. Długa jazda przerywana kontrolami wojska, sprawdzaniem paszportów, bagaży, pokazała nam jeszcze bardziej potęgę tego rejonu, a jednocześnie uzmysłowiła położenie. Bliskość granic z Iranem, Irakiem, Gruzją, Syrią robi swoje. Opancerzone samochody, stanowiska z gotowymi do strzału karabinami maszynowymi, czołgi ustawione naprzeciwko siebie, jakby zaraz miały ruszyć w swoją stronę. A do tego narodowościowe działania Kurdów, partyzantka kurdyjska i dążenia do powstania Kurdystanu jako niezależnego, wolnego państwa. Bezkrzesne przestrzenie, mało urozmaicone krajobrazy o dominującej żółto-brązowej barwie wydają się nie mieć końca. Nieurodzajne, wysuszone gleby, zastygłe jezery lawy wulkanicznej, miliony kamieni. Pojawiające się od czasu do czasu pola arbuźów tak nie pasują, że aż wydają się być nierealne. Tak samo nierealne wydały się spotkane po drodze piękne wodospady Muradyje.

Adilcevaz - miasto, w którym zatrzymaliśmy się, aby załatwić pozwolenie na wejście na Suphan, wydawało się miastem zamieszkałym przez samych mężczyzn. Przy każdym, nawet najmniejszym sklepie, rozstawione były małe stoliki z jeszcze mniejszymi krzeselkami, na których od rana przesiadywali mężczyźni i delektując się słodką herbatą prowadzili dyskusje o wszystkich problemach tego świata. Do dzisiaj nie wiem, kto w tych sklepach, zastawionych przeróżnymi towarami robi zakupy. Komu w tak małej miejscowości potrzeba tylu sklepów z telefonami komórkowymi, lodówkami, pralkami, telewizorami, biżuterią.....Żandarmeria wojskowa wydała nam w końcu pozwolenie, ale jak się okazało nie na tą trasę, o którą nam chodziło, co w konsekwencji spowodowało, że obóz musieliśmy rozbić już na wysokości 2500m, a nie tak jak planowaliśmy wcześniej na 3000m. Oznaczało to też, że atak szczytowy będzie o 500 metrów dłuższy. Po prostu półtora kilometra w pionie!. Na szczyt wyruszyliśmy następnego dnia o godz. 3 rano. Dobrze było przez pierwszą godzinę, gdy udawało mi się trzymać czołówki. Później coraz bardziej traciłam z oczu tych, którzy z prędkością znacznie przekraczającą moje możliwości poruszania się, zmierzali w kierunku szczytu. Suphan jest drugą pod względem wysokości górą Turcji. Jest to masyw wulkaniczny leżący w zachodniej części Wyżyny Armeńskiej. Najkrócej tę górę można opisać używając słów: kamienie, kamienie i jeszcze raz kamienie. Wielkie głazy, małe kamyczki, kamienie przykryte warstwą piasku, żwiru – i wszystko to ruchome, mało stabilne,

nieprzewidywalne. Poruszyć się mógł nagle i mały kamień i wielki głaz. Co pokonałam jeden etap wzniesienia, to zaraz okazywało się, że za tym zdobytym wzniesieniem jest następne, na które trzeba się wspiąć. Kilka razy traciłam wiarę w to, że wejść na szczyt. Traciłam też zapal chociażby z tego powodu, że zdobycie tej góry miało jedynie znaczenie aklimatyzacyjne, a nie było głównym celem wyprawy. Nie musiałam tam wchodzić...tym bardziej, że każdy krok wiązał się z decyzją – gdzie postawić nogę, w którą stronę iść, jak się poruszać, aby nie okazało się, że błędna decyzja spowoduje konieczność „nadłożenia” wielu metrów?? I tym razem pomogła mi determinacja – trwało to 7 godzin, ale weszłam.

Po szczęśliwym, aczkolwiek ciężkim się w nieskończoność powrocie do bazy, wyruszyliśmy do Dogubayazit - miasta leżącego u stóp Araratu. Góra szybko ukazała nam się w całej okazałości. Widzieliśmy ją z wielu miejsc, podziwialiśmy z daleka, zastanawialiśmy się nad przebiegiem trasy na szczyt. Ciągle była gdzieś w tle. Trzeba przyznać, że Ararat robi wrażenie. Czapa wiecznego lodu z unoszącym się nad nią białym obłoczkiem na tle błękitnego nieba sprawia wrażenie zamkniętej na glucho paszczy krateru. Jedynie ogromne powierzchnie jeziorów rozlanej i zastygłej lawy przypominają o potężde uśpionych wulkanów. Przed wyruszeniem w masyw Araratu czekało nas jeszcze wiele atrakcji. Z braku miejsca wymienię jedynie najważniejsze i najciekawsze: pałac Ishak Pascha – jak podają informatory i przewodniki turystyczne – z jego minaretu roztacza się jeden z najpiękniejszych widoków na świecie; muzeum Arki z robiącym ogromne wrażenie, zatrzymanym na potężnej górze zarysem Arki Noego. Na granicy z Iranem oglądaliśmy ogromny lej po meteorycie Cucuro - drugim pod względem wielkości po słynnym meteorycie tunguskim. Wielką atrakcją była późnowieczorna kąpiel w gorących źródłach. W takich warunkach mija wszelkie zmęczenie – gorąca woda, rozgwieżdżone niebo nad głową, nastrój tajemnicy i magii. A później najważniejszy był już tylko Ararat. Nie było łatwo!! Gdy wieczorem w obozie II na wysokości 4200m rozszała się burza z piorunami i diametralnie załamała się pogoda – wydawało się, że wejście na szczyt w ogóle nie będzie możliwe. Szanse na atak szczytowy spadły tak bardzo, że cała grupa wraz z naszym wspinałym przewodnikiem Hakanem popadła w nastrój przygnębienia. Ale i tym razem los nam sprzyjał. O 24-ej świeciły gwiazdy, a księżyc oświetlał czasami drogę tak intensywnie, że nie były prawie potrzebne latarki. W granicach 5000 metrów rozpoczął się już marsz po wypolerowanym lodzie. Pomimo poprawy pogody temperatura na takiej wysokości nie może być wysoka – było bardzo zimno. Ręce marzną nawet w dobrych rękawicach i zakładanie raków w takich warunkach nie należy do czynności łatwych. Na lodowy szczyt dotarliśmy w komplecie o szóstej rano. Na prośbę Hakana na sam wierzchołek weszliśmy w jednej chwili wszyscy razem. I jak opisać emocje, które można przeżyć tylko tam – w górze???? Duma, podziw, szczęście, zachwyty, radość, no i często łzy....Jak cudownie jest płakać w takich chwilach!!!

Z pozdrowieniami dla wszystkich Czytelników
Anna Gliszczyńska